

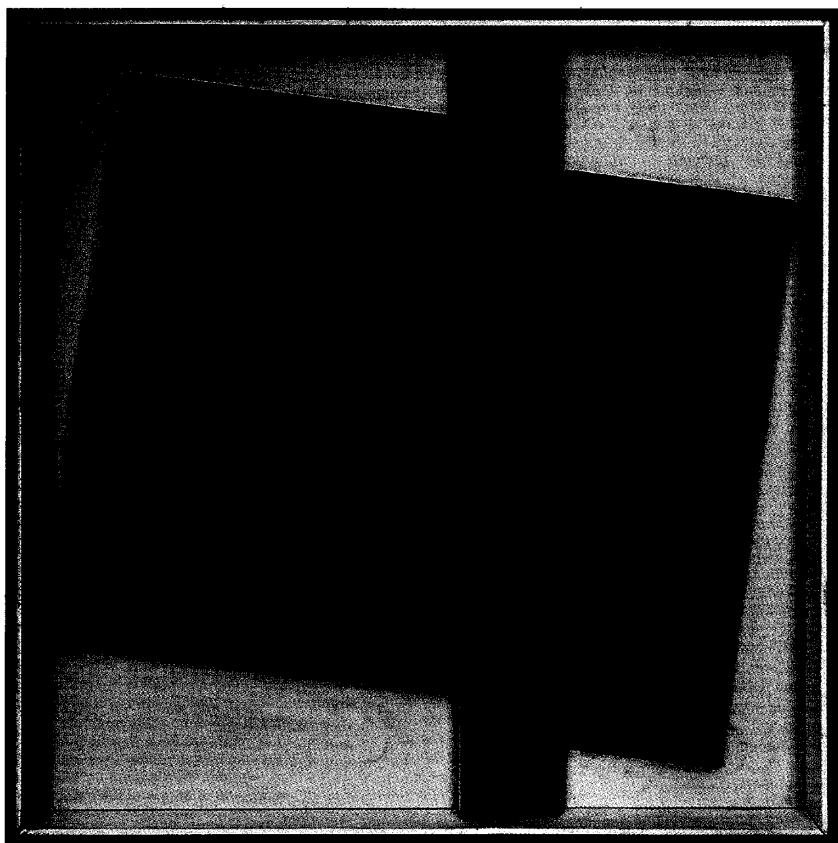
a

3

(181) 2025

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



- Jacek Zalewski: *Na początku był Bełkot. Dorota Masłowska po latach* ● Andrzej Jaroszyński: *Polska „Solidarność” oczyma Brytyjczyków* ● Anna Frajlich, Wojciech Kudyba, Krzysztof Lisowski i inni – *wiersze* ● Jarosław Cymerman: *Czechowicz – linia ojca* ● Janusz Golec: *Lublin miejscem poszukiwania żydowskiej tożsamości* ● Łukasz Marcińczak o Konstantym Jeleńskim ● Andrzej Nowacki, polski abstrakcjonista w Berlinie
- Lechosław Lameński: *Co babie do pędzla?!*

Nie tylko analitycznie...

JAROSŁAW ANDERS

ŻYCIE – JEDNAK WSPANIAŁE

Mam w sobie różne rany..., niektóre bardziej, inne mniej zabliźnione. Ale one są mi też potrzebne, żeby wzrastać, żeby dojrzewać! Bardzo często piszę właśnie o tych moich starych polskich ranach (s. 188) – mówi poetka Anna Frajlich w jednej z trzynastu rozmów ze Sławomirem Jackiem Żurkiem, które składają się na wywiad rzekę opublikowany nakładem wydawnictwa Austeria pt. *Szklany sufit języka*. Rozmowy te, przeprowadzone w Nowym Jorku na przełomie listopada i grudnia 2023 roku, uzmysławiają nam bardzo wyraźnie to, na co często zwracali uwagę piszący o twórczości Frajlich, to znaczy związki pomiędzy jej widzeniem świata oraz wyobraźnią poetycką a skomplikowanymi, często dramatycznymi kolejami jej życia.

Książka stanowi w istocie zwartą, sumiennie opracowaną autobiografię mówioną autorki uzupełnioną fragmentami listów, zapisków z dziennika, zdjęciami i szczegółowymi adnotacjami o charakterze akademickim. W pytania Żurka i odpowiedzi poetki wplecione zostały jej wiersze, które – gdyby zebrać je w osobnej publikacji – stanowiłyby ciekawy miniwybór połączony biograficznym motywem. Taka była właśnie zadeklarowana intencja rozmówcy, który zwracając się do Frajlich, zapowiadał, że chce prowadzić rozmowy, „obserwując (...) [jej – przyp. J.A.] życie w kontekście wierszy i odwrotnie” (s. 22).

Anna Frajlich jest poetką dobrze znaną czytelnikom „Akcentu”. Znane są również, przynajmniej w zarysie, główne fakty z jej życiorysu: od narodzin w Kirgistanie, gdzie wojenne perypetie rzuciły jej matkę, poprzez spotkanie z ojcem i dzieciństwo na Uralu, długą podróż towarowym wagonem do Polski, zakończoną w nie do końca jeszcze polskim Szczecinie, studia polonistyczne i pierwsze próby poetyckie w Warszawie, dramatyczny wyjazd z Polski po kampanii antysemickiej 1968 roku, przystanki w Wiedniu i Rzymie, po trudne początki, a następnie asymilację, karierę akademicką i niebywałą poetycką rozkwit w Nowym Jorku. Poetka pisała i mówiła o tym wszystkim niejednokrotnie. *Szklany sufit* jest jednak najpełniejszą relacją dotyczącą jej życia i zbiorem refleksji nad własnym losem, nad kontaktami z ważnymi dla niej osobami, nad procesem twórczym i literaturą w ogóle. Uwypukla to, co stanowi sedno poezji Frajlich: twórcze przetworzenie doświadczenia jednostki w uniwersalną opowieść o czasie i przestrzeni, o historii, o nietrwałej, lecz niezbędnej siatce ludzkich relacji, o wyobcowaniu i kreacji.

Czy literatura to metaforyczne laboratorium Twojego życia? – pyta Sławomir Żurek. *Tak, a to z tego powodu, że moje wiersze dotyczą mojej konkretnej egzystencji* – odpowiada Frajlich, ale dodaje zaraz: *Próbuję odpowiedzieć sobie samej na pytanie o cel i sens ludzkiego, a więc i mojego, istnienia* (s. 161).

Paradoksalnie, to właśnie kolejne doświadczenia wykorzenienia i dyslokacji w przestrzeni fizycznej, ludzkiej i kulturowej, nieustające próby podtrzymania ciągłości w nowych warunkach i na nowych zasadach zdają się poszerzać horyzont patrzenia autorki na sprawy historii, etyki, egzystencji i literatury, w tym również literatury polskiej, która czytana wspólnie z amerykańskimi studentami odkrywa przed Frajlich nowe znaczenia i odniesienia.

Pierwsza część książki, zatytułowana *Umarłe adresy z Manhattanem w tle*, poświęcona jest właśnie dyslokacjom i próbom „udomowienia” nowych miejsc. Adres pierwszy to Katta-Tałdyk w Kirgistanie, położony w majestatycznej scenerii u stóp gór Hindukusz, gdzie w dramatycznych warunkach bytowych małej Ani nieraz groziła śmierć z choroby albo głodu. To miejsce, które pozwoliło ciężarnej matce przyszłej poetki uniknąć losu zgotowanego Żydom we Lwowie, gdzie po wkroczeniu armii niemieckiej *na ulicy zasieczono mego dziadka / sąsiedzi zadenuncjowali moją czteroletnią kuzynkę / gdzie na balkonach powieszono tych / których imion nigdy nie usłyszę*. A więc niejako już przed urodzeniem Frajlich została brutalnie „wysiedlona” z miasta, w którym miał nastąpić jej początek – *i już nie miałam innego początku / tylko majestat tych gór / Dach Świata / jak najdalej od Europy* (s. 61). Autorka odwiedzi Kirgistan po latach i opis tej podróży oraz serdecznego tam przyjęcia również znajdziemy w książce.

Lwów, miasto rodziców, nie pozostawiał rodziny Frajlichów w spokoju. To również jeden z „umarłych adresów” nawiedzających poetkę w opowieściach najbliższych. Taka pamięć niebezpośrednia, rekonstruowana, pamięć poniekąd urojona, potrafi mieć wielką siłę oddziaływania na wyobraźnię. We wspomnieniach i wierszach Frajlich (*Niezapominajki, Sen o Lwowie*) Lwów jawi się zarówno jako miejsce, w którym jej rodzice stracili wszystko, jak i jako raj utracony, miasto, którego wyidealizowany obraz powracał ciągle w opowieściach dawnych lwowiaków: *Pamiętam, że każde moje nawiązanie do Lwowa w londyńskich „Wiadomościach” wywoływało emocjonalną reakcję czytelników. Ludzie byli szczęśliwi, czytając moje wiersze o tym mieście! Wtedy tak naprawdę dotarło do mnie cierpienie moich rodziców i wszystkich tych, którzy Lwów utracili. Uświadomiłam je sobie, gdy sama doświadczyłam bezdomności po wygnaniu z Polski* (ss. 30-31).

W Szczecinie Ania wraz z rodzicami znalazła się właściwie przypadkiem. Wieziono ich tygodniami do Polski, nie mówiąc dokładnie gdzie. To właśnie na poniemieckich Ziemiach Zachodnich, zwanych również „Odzyskanymi”, lokowano większość przesiedleńców z radzieckiego już „Wschodu”. Na ulicach słychać było „kresowy” akcent, czasem jidysz, lecz także (jeszcze) niemiecki. W jednym z wywiadów poetka powie: „wszyscy byliśmy wygnańcami już w Szczecinie” (s. 106). Ale właśnie Szczecin okazał się pierwszym prawdziwym domem, pierwszą przystanią w wędrownym życiu rodziny Frajlich, scenerią dziecinnych zachwytów i niepokojów, jak również miejscem pierwszego zetknięcia się z antysemityzmem. Szczecin, gdzie autorka jest częstym gościem i gdzie wydaje swoje książki w oficynie FORMA, pojawia się w jej wierszach (*Miasto, Taniec – miasto*) jako też jakby trochę wyidealizowana sceneria dzieciństwa (ogrody, wysadzone drzewami ulice), lecz podszyta pewną ambiwalencją, pamięcią o wysiedlonych „w panice wojny” Niemcach – schronisko dla wygnańców, skąd dopiero co wygnano innych.

Najbardziej dramatyczna „zmiana adresu” nastąpiła w roku 1969, kiedy z powodu rozpętanej przez PRL-owskie władze kampanii antysemickiej Anna Frajlich zdecydowała się na emigrację wraz z mężem i małym synkiem. Moment wygnania, wyjazdu pociągiem z Dworca Gdańskiego w Warszawie, powraca uporczywie w jej poezji – jest niejako punktem odniesienia wszystkich jej wcześniejszych i późniejszych doświadczeń.

Szklany sufit uświadamia czytelnikowi bezmiar krzywdy wyrządzonej polskim Żydom zmuszanym szykanami i pogardą (nie tylko ze strony władz) do opuszczenia kraju, który uważali za swoją ojczyznę, do porzucenia karier zawodowych, planów na przyszłość, osobistych marzeń (Anna Frajlich zaczynała właśnie drukować swoje pierwsze wiersze), a także członków rodziny, polskich przyjaciół, pierwszych sympatii. Pojawiały się oczywiście głosy wsparcia i otuchy, ale tym, co wyjeżdżający słyszeli najgłośniejsze, było „powszechne milczenie wobec całej antysemitki nagonki”, które „do tej pory boli” (s. 172).

Ta krzywda jest chyba trudna do wyobrażenia dla najbardziej nawet życzliwych i współczujących nie-Żydów. Trudna do pojęcia jest skala upokorzenia, zawodu i wykluczenia, których nie odczuwali jednak zwykli polityczni wychodźcy. Ci mogli zachować przynajmniej gorącą pamięć i poczucie więzi z krajem. Dla polskich Żydów nawet pamięć, tęsknota zostały skażone. Oni sami zostali poniekąd wymazani i przekreśleni dla innych, ale również dla nich samych, okradzeni z tego, za co się dotąd uważali. „Czy jeszcze mnie zostało...” – pyta autorka w jednym z cytowanych w książce wierszy, a w innym porównuje wygnańców do pogrzebanych, skamieniałych mieszkańców Pompei.

Oto dlaczego – pomimo upływu lat, zadowolenia i sukcesów osiągniętych w Ameryce – nad czymś takim nie sposób, a nawet nie wolno, „prześć do porządku dziennego”, jak pisze autorka w wierszu *Powrót – podróż sentymentalna*. Protagonisci jej utworów czują często, że są w pewnym sensie niekompletni, jak potłuczone i sklezione pieczołowicie figurynki, którym brak jednak jakiegoś ważnego fragmentu. Tak jest np. w przypadku narratorki krótkiej prozy pt. *Laboratorium: Ja czekam. Czekam na coś, co może jeszcze przyjść. Na coś, co tyle razy już utraciłam i odzyskałam. Na coś, o czym nic nie wiem, co może nigdy się nie zjawi. Czekam*¹. Natomiast w jednym z anglojęzycznych esejów opublikowanych w zbiorze *The Ghost of Shakespeare* autorka określa się jako osoba głęboko zraniona, zraniona w moich najbardziej intymnych uczuciach, w poczuciu własnej wartości, w patriotyzmie, w samej podstawowej potrzebie przynależności².

Poszczególne etapy tego wyjazdu i wyobcowania opisane są w książce krok po kroku. Najpierw Wiedeń, etap przejściowy przeżyty w stresie i niepewności, bez znaczącego kontaktu z samym miejscem. Później Rzym, gdzie Anna z mężem oczekiwali na wizę amerykańską (znowu decyzja, by znaleźć się „jak najdalej od Europy”) i gdzie powraca ciekawość świata, poczucie piękna i ogromu przeszłości. Pod wpływem kontaktów z kulturą włoską powstało wtedy wiele wierszy, między innymi *Pompeje*, *Legenda o Lucca della Robia* czy *Z Florencji*. I wreszcie Nowy Jork, który stanie się dla autorki domem, a którego konkretność i chimeryczność, solidność i płynność, ciągła zmienność perspektyw i nastrojów będzie tematem wielu wierszy.

Zanim jednak Nowy Jork stanie się „łodzią i przystanią” i zacznie w pełni należeć do Frajlich, a ona do niego, jak miliony innych nowojorczyków przed nią poetka będzie musiała przejść trudny i dezorientujący proces adaptacji. Przez długie lata Nowy Jork odbierałam jako miasto obce. Byłam tu, więc byłam, ale nie miałam do niego żadnego stosunku osobistego. Jednak w pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że staje się ono drogą dotarcia do czegoś, a równocześnie punktem docelowym. Przez lata do niego zdążałam, przyglądając się temu miastu, jego światłom, odkrywając je, poznając historię i teraźniejszość, aż uświadomiłam sobie, że jest mi bliskie. Najbardziej zachwyciłam się tu ludźmi oraz relacjami pomiędzy nimi. I w końcu poczułam się jak w domu (s. 185).

¹ A. Frajlich: *Laboratorium*. Szczecin, Bezrzenie 2010, s. 26.

² Taz: *Writing Polish in America* (w:) tejże: *The Ghost of Shakespeare. Collected Essays*. Edited and with an Afterword by R. Meyer. Boston 2020, s. 269.

Nowy Jork stał się zatem „tym adresem” być może dlatego, że niemal każdy jest tam trochę obcy i zagubiony, co tworzy między mieszkańcami szczególną więź. A jednak przeszłe wędrówki Frajlích i jej rodziny, miejsca opuszczane z nadzieją, porzucane w strachu i pod przymusem, adresy wygnania, adresy „zapominane sumiennie”, adresy, które nas przywołują, i takie, które nas odpychają, adresy, które odwiedzamy w snach lub w rzeczywistości, i adresy, których odwiedzić nie sposób – cała ta płynność i zmienność przestrzeni – również powracają uporczywie w wierszach Frajlích. Miejsca i krajobrazy pojawiają się tam często jakby w zamgleniu i półzatarciu. Oko narratora obserwuje je zwykle z pewnego oddalenia, w pustce i półmroku. Są męczącym emigranckim snem, przypomnieniem czegoś niemal wstydliwego: *jak nie odpuszczony grzech / ciąży mi notes z adresami*.

Szklany sufit jest również księgą imion – przywoływanych troskliwie genealogii rodzinnych osób, które zginęły w Zagładzie (*mam tu połówki karteluszek mojego ojca, na którym, nie wiem kiedy, spisał ich imiona i koligacje*; s. 17); księgą zmarłych bez pożegnania; księgą żywych, lecz nieobecnych, pozostawionych „gdzieś na uboczu”, odszukanych po latach lub napotkanych przypadkiem; księgą słynnych przyjaciół, mentorów i korespondentów, jak Jan Kott, Czesław Miłosz, Wisława Szymborska, Tymoteusz Karpowicz czy odwiedzony w Tel Awiwie pisarz i literaturoznawca Stanisław Wygodzki; oraz księgą ludzi anonimowych, nikomu nieznanym kolegom, sympatii, współwygnańców i tych, którzy okazali autorce i jej rodzinie nieoczekiwaną i bezinteresowną życzliwość. Ta sieć relacji, często nadszarpnięta przez czas, osłabiona i ambiwalentna, jest również stałym wygnańczym motywem w poezji Frajlích, gdzie ludzie pojawiają się jakby w momencie odchodzenia, zanikania – z bólem zapominani lub z wysiłkiem wypierani z pamięci. Ich nieobecność zawarta jest w tym, co pozostawili po sobie: niedokończona rozmowa, cień, słowo, dźwięk głosu, pusta półka.

Sławomir Jacek Żurek dyskretnie steruje relacją Frajlích, kierując ją na przemian ku tematom ważkim i sprawom codziennym. Pyta poetkę o stosunek do judaizmu i tradycji żydowskiej. Wywodząc się z rodziny świeckiej, Frajlích nie miała z judaizmem większych kontaktów i wychowała się w warunkach religijnej otwartości, o czym zaświadcza wzruszający wiersz o spędzonym wśród przyjaciół Bożym Narodzeniu. Ale tradycja żydowska zawsze była dla niej ważna, a zainteresowanie judaizmem jej syna i wnuków przyjmuje z zadowoleniem. Autorka mówi o śmierci – o własnym otarciu się o nią w czasie ciężkiej choroby i o śmierci swoich rodziców, której poświęciła kilka wierszy. *Możemy tylko zaakceptować śmierć jako częśćkę swojego własnego istnienia* (s. 359) – czytamy. Mówi też o swojej relacji do Boga: *Z tą relacją jest różnie... A co do Jego istnienia... Wydaje mi się, że Coś musi być. Coś musi być... A – bardziej precyzyjnie – mam nadzieję, że On jest... Jakoś go sobie wyobrażam* (s. 167).

Ale Frajlích opowiada również o typowych imigranckich perypetiach: przypadkowych pracach poniżej kwalifikacji (mąż-inżynier pierwszy zlecony projekt zrobił zbyt szybko, przez co skrócono mu kontrakt), o pisaniu w Ameryce, o studiach i karierze akademickiej zawdzięczanych, jak to w USA, odrobinie szczęścia i harówce. Dowiadujemy się, że spór literacki z lat 60. pomiędzy Orientacją Poetycką Hybrydy, w której Frajlích stawiała pierwsze poetyckie kroki, a Nową Falą (deklaratywny estetyzm tych pierwszych i deklaratywne „tu i teraz” tych drugich) zazgrzytał nagle po latach na gruncie amerykańskim w postaci dość niechętnego stosunku Stanisława Barańczaka do autorki. Poznajemy też opowieść o jednorękim Karpowiczu, który próbował sam remontować swój rozsypujący się dom pod Chicago (jest fragment wiersza o tym wielbicielu Norwida, który wybrał „los Norwidowy”).

Znajdziemy w tej opowieści wiele zadowolenia z przebytej drogi, zwłaszcza z pracy na uczelni, z pracy z amerykańskimi studentami, z kontaktów z paryską „Kulturą”, ze współpracy z londyńskimi „Wiadomościami” i Oficyną Poetów i Malarzy, z polonijnymi czasopismami kulturalnymi, z uczestnictwa w polskim życiu kulturalnym na obczyźnie i z symbolicznego powrotu do Polski, gdzie Frajlich ma dziś licznych przyjaciół i czytelników i gdzie od roku 1993 ukazują się jej książki. Krzywda wygnania pozostaje widoczna w jej poezji i w jej wypowiedziach. Ta rana już się chyba nie zagoi i to ona zapewne jest u Frajlich impulsem twórczym. Tak przynajmniej uważa ona sama, mówiąc o niej w jednym z esejów jako „fundamencie swojej twórczości” i źródle „szczególnej perspektywy widzenia własnych doświadczeń”³.

Są w tej opowieści, jak i w poezji Frajlich, obok melancholii, bólu pamięci i bólu zapominania, gniewu, trudnych wyborów między rodzajami samotności, również dzielność, mądrość i ciekawość świata, dzięki czemu wygnanie, ucieczka staje się wędrówką, „podróżą doskonałą”, otwarciem nowych horyzontów.

Kiedy w roku 1969 wyjeżdżałam z Polski na emigrację – powie Frajlich w *Szklanym suficie* – myślałam, że moje życie się skończyło, a tymczasem ono się właśnie wtedy zaczęło! (s. 113). A w innym miejscu doda: *Prawie od razu po przyjeździe zdecydowałam, że chcę się rozwijać. Studiowałam więc literaturę rosyjską i cały czas pisałam: po rosyjsku (prace zaliczeniowe), po polsku (wiersze), po angielsku (artykuły). Na początku często czułam się zestresowana, ale to po jakimś okresie minęło. Dlaczego podkreślam, mimo wszystkich trudności, przez jakie przesłam, wspaniałość życia, jakie tu wiodę? Może dlatego, że w Ameryce poznałam prawdziwą wolność. Owszem, o wszystko trzeba walczyć, ale jest o co!* (s. 331).

A więc, życie – przełamane w kilku miejscach, złożone na nowo, nie do końca zagojone, ale jednak „wspaniałe”.